

Kobieta o wyjątkowej osobowości

Autor: Theo Sommer

Twórczość wyjątkowej dziennikarki, Marion Dönhoff, obejmuje trzy tematy: opór przeciw Hitlerowi, pojednanie ze Wschodem i krytykę szalejącego kapitalizmu. W hołdzie dla hrabiny Marion Dönhoff.

Ilu określeń już użyto, by ją scharakteryzować! Opisywano ją jako najbardziej wpływową kobietę Niemiec, pierwszą damę niemieckiego dziennikarstwa, Prusaczkę XX wieku, instancję moralną, ambasador Niemiec w czasie, kiedy nasz kraj pilnie potrzebował wiarygodnych tłumaczy, wzór i legendę. I wszystko to prawda. Jednak te dowody uwielbienia (a często także próby przypodobania się) uderzyły jej do głowy w niewielkim stopniu. Tak samo nie przejmowała się, gdy krytykowano ją za stanowczość w wyrażaniu poglądów i wojowniczość. Hrabina Marion Dönhoff zawsze była sobą: nie do podrobienia i nie do pomylenia z kimś innym.

Jej osobowość była równie bogata, jak jej życie. Potrafiła dokazywać jak nastolatka i popaść w zadumę niczym filozofujący nadleśniczy. Jadła szparagi rękami zgodnie ze starofrankońskim zwyczajem i gwizdała na palcach jak dorożkarz Grender, od którego nauczyła się tej sztuki jako dziecko. W biurze i w podróży preferowała styl sportowo-niedbały, nosząc zmiętą spódnicę z ninoflexu (rodzaj wodoodpornego materiału – przyp. tłum.), a podczas wieczornych przyjęć pokazywała się w bluzkach z falbankami i żakietach z aksamitu. Kulinarne uczyty nie były jej obce, jednak na obiad jadła najczęściej dwie cienkie kromki pełnoziarnistego pieczywa z salami. Nic nie mogło jej sprawić większej przyjemności, jak buteleczka słodkiego Spätlese (rodzaj wina o określonej zawartości cukru – przyp. tłum.), ale niczym kołodziej z rodzinnego Friedrichsheim potrafiła też wypić jedną lub dwie czyste wódki. Na parkietach niemieckich zamków czuła się tak samo swobodnie, jak na klepisku w afrykańskiej chacie. Była niezmordowaną spacerowniczką i równie zagorzałą amatorką jazdy porsche.

Jej długie życie przypadło na wiek XX. „Niewielu z jej rówieśników – potwierdza biograf hrabiny, Klaus Harpprecht – przeżyło obie połowy wieku w tak świadomy sposób, z taką skrupulatnością, tak otwarcie pozostając wiernym samemu sobie”. Rzeczywiście zawsze pozostała sobie wierna – w każdej z dwóch części, na które bieg wydarzeń podzielił jej trwające 92 lata życie.

Pierwsze życie Marion Dönhoff rozpoczęło się 2 grudnia 1909 roku, kiedy przyszła na świat na zamku Friedrichstein niedaleko Królewca. Do 1945 roku była „contessą” – córką właścicieli majątku ziemskiego, studentką ekonomii politycznej we Frankfurcie i Bazylei, podczas wojny zarządzała majątkiem rodziny. W swoich książkach: *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich* i *Nazwy, których nikt już nie wymienia* przywoływała w poruszający sposób tamten czas spędzony w ojczyźnie. Beztroskie zabawy z wiejskimi dziećmi, jesienne polowania i przejażdżki konne po barwnym lesie, ogromna samotność zaśnieżonego krajobrazu zimą – „Tak mijał rok za rokiem zgodnie z rytmem natury” – wspominała autorka. Jednocześnie nad tymi latami wisiało widmo nadchodzącego nieszczęścia.

Jeszcze jako uczennica ostatniej klasy gimnazjum Marion Dönhoff miała raz okazję spotkać w Berlinie Hitlera. Wydał jej się przerażający, jego argumenty szaleńcze, a załamujący się głos odrzucający: „To spotkanie przesądziło o moim nastawieniu do końca życia (...). Ojczyzna przestała dla mnie istnieć, odkąd pojawił się Hitler”. Przez dziesięć lat widziała nadchodzącą wojnę – w pełnej trwogi pewności, że pewnego dnia Prusy Wschodnie zostaną utracone.

Wielu z jej najlepszych przyjaciół należało do ruchu oporu przeciw Hitlerowi. Po nieudanym zamachu 20 lipca 1944 roku większość z nich została stracona. Znała ich wszystkich: Clausa von Stauffenberga, Henninga von Tresckow, Rudolfa-Christopha von Gersdorffa, najlepiej – swojego kuzyna Heinricha von Lehndorffa, a także dwóch, którzy przeżyli: Axela von dem Bussche i Fabiana von Schlabrendorffa. Przez długi czas pośredniczyła w kontaktach między nimi – świadcząc raz czy dwa usługi kurierskie do Szwajcarii. Wiedziała, że coś jest planowane, ale nie wiedziała kiedy, jak i gdzie. Czterdzieści lat później powiedziała w wywiadzie: „Sama strzeliłabym niechętnie. Ale zawsze powtarzałam: tego typu trzeba oczywiście zabić. Nie wiem, czy nie zrobiłabym tego sama, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej...”. Przeżyła, ponieważ jej nazwisko nie znajdowało się na żadnej liście.

Po sześciu miesiącach po zamachu Stauffenberga na Hitlera przyszli Rosjanie. Hrabina zorganizowała dla swoich ludzi kolumnę uchodźców, a sama 21 stycznia 1945 roku przy 21 stopniach poniżej zera wsiadła na swojego dwunastoletniego konia Alaricha. Siedem tygodni trwała jej legendarna przeprawa na Zachód. Miała wtedy 35 lat.

W Domu Prasowym w Hamburgu w lutym 1946 roku znalazła się raczej przypadkowo. Nie była przygotowana do wykonywania dziennikarskiego fachu, właściwie wolała zająć się nauką. Oprócz listów, gruntownie opracowanej rozprawy doktorskiej i kilku przemysłów na temat przyszłości powstałych w pierwszym roku po zakończeniu wojny nie napisała w tym czasie wiele więcej. Strach przed pisaniem szybko minął („Wcześniej myślałam: jest możliwe, że jutro rano będziesz mieć przed sobą jeszcze ciągle niezapisaną kartkę. Potem nauczyłam się, że coś na niej będzie“). Szybko wypracowała sobie pozycję i nazwisko – w kraju i poza jego granicami.

Jej teksty odzwierciedlają cechy jej natury: naturalną szczerość, skromny wygląd, cierpką uczciwość i waleczność, przekonującą subiektywność i jednocześnie pełną empatii tolerancję. Pisała tak, jak żyła: z pasją, namiętnością, ciekawością życia i czasu, czujnością wobec wydarzeń na świecie.

Jej styl był pozbawiony ozdobników, prawie surowy (nie licząc wspaniałych opisów przyrody). Nie lubiła patosu. Zależało jej na przesłaniu, a nie na opakowaniu. W pisaniu chodziło o zrozumienie, a nie o poklask. Wszystko, co fałszywe, próżne i napuszone, było sprzeczne z jej naturą. Nie chciała błyszczeć, lecz działać. Nie chodziło jej wyłącznie o to, żeby odkrywać – o dziennikarstwie śledczym miała niewielkie pojęcie. Dążyła do tego, by racjonalizować emocje, uprzedmiotowiać dyskusje, skrupulatnie analizować fakty a potem móc powiedzieć: „Tak nie może być!”

Marion Dönhoff miała konserwatywne poglądy w sprawach państwa i społeczeństwa, liberalne zaś w kwestiach dotyczących jednostki. Starą maksymę Hugenotów „savoir resister“ (być zdolnym do stawiania oporu – przyp. tłum.) stosowała także jako dziennikarka. Liberalizm według niej zobowiązywał do stawiania oporu, do sprzeciwiania się absolutystycznym skłonnościom rządu, ale również absolutystycznie manifestującym się ideologiom. Określenie „liberalny” znaczyło dla niej, że wszystko trzeba ciągle na nowo rozważać i zmieniać, pewne rzeczy uzupełniając, a z innych rezygnując. Jej sposób myślenia nie był dogmatyczny, lecz pragmatyczny.

Nieposkromiona ciekawość ciągnęła ją w świat. Podróżowała po całej kuli ziemskiej, przy czym cele podróży wyszukiwała zazwyczaj tak, że kierując się niezawodnym instynktem trafiała tam, gdzie następował punkt zwrotny w rozwoju. Wszędzie, tak się przynajmniej wydawało, słyszała huk dział spod Valmy XX wieku: w Indochinach i Indiach, w Afryce i na Przylądku Dobrej Nadziei, na Bliskim Wschodzie i na konferencjach poświęconych problemom Trzeciego Świata. Jednocześnie pojawiała się regularnie w ośrodkach władzy w Waszyngtonie i Moskwie, Londynie i Paryżu, gdzie była mile widzianym gościem.

Jako publicystka Marion Dönhoff napisała nieskończenie dużo na nieskończenie wiele tematów – tylko w „Die Zeit“ ukazało się 2000 artykułów. Całą jej twórczość – zarówno artykuły prasowe jak i 25 książek – zdominowały jednak trzy tematy: opór wobec Hitlera, pojednanie ze Wschodem i krytyka wytworów kapitalizmu.

„Nie mogło być nic gorszego od straty wszystkich przyjaciół i świadomości, że jest się pozostawionym samemu sobie” – pisała wspominając 1944 rok. Ale nawet przez jeden dzień według własnych zapewnień nie zapomniła, w co wierzyli umarli i o co walczyli. W 1946 roku w specjalnej publikacji pod tytułem *In memoriam* oddała po raz pierwszy cześć niemieckiemu ruchowi oporu. Każdego roku przypominała w „Die Zeit“ o dniu 20 lipca. To również jej zawdzięczamy, że dzień ten zyskał historyczne znaczenie dla mitu założycielskiego Niemiec.

Niekiedy insynuowano hrabinie Dönhoff, że w czasie wydarzeń 20 lipca grała rolę giermka niemieckiej, a właściwie pruskiej arystokracji, po to, aby w powojennych Niemczech zapewnić jej nowe fundamenty władzy. Oczywiście, pochodziła z Prus i była dumna z tego, że wśród tych, którzy po nieudanym zamachu zginęli z ręki oprawcy, wielu wywodziło się ze starych pruskich rodów. Nie była jednak zaciekłą Prusaczką. Zgodnie z wyidealizowanym przez nią historycznym obrazem, jej Prusy to nie była musztra i ślepe posłuszeństwo, lecz były uosobieniem tolerancji, obowiązkowości, samodzielności myślenia i działania tam, gdzie posłuszeństwo niosłoby ze sobą hańbę. Te jej Prusy, jak ciągle powtarzała, przeminęły w 1871 roku wraz z nastaniem „kapitalistycznej chęci zysku junkrów” i megalomanii ery wilhelmińskiej. W „Powstaniu sumienia”, jak nazwała dzień 20 lipca, dostrzegła ostatni przeblysłk starych pruskich cnót i ówczesnego poczucia honoru.

Jeśli jednak chodzi o arystokrację, to spisała ją na straty. Arystokratka z urodzenia nie ceniła specjalnie wysoko społecznego znaczenia swojego stanu (we własnej rodzinie doświadczyła, jak jej dwóch braci uległo pokusie narodowego socjalizmu – fakt, o którym nie rozmawiała nawet z najbliższymi przyjaciółmi). Nie miała złudzeń: „Arytokracji jako klasy społecznej już nie ma i nigdy nie będzie. Nic jej nie daje przywileju do bycia wzorem. W przypadku nielicznych funkcjonuje jeszcze coś takiego jak arystokracja poglądów”. Tak jak w jej przypadku. Poświadczył to Henry Kissinger: „O jej arystokracji świadczy w mniejszym stopniu pochodzenie, a o wiele bardziej jej postawa i czyny”.

Drugim tematem jej życia była powojenna polityka wobec Wschodu. Ralf Dahrendorf napisał o tym: „Udało jej się połączyć bezimienną gorycz wspomnienia z postawą, która w sposób aktywny i bez zaszłości broniła zjednoczenia całej Europy na podstawie ustanowionych po wojnie granic”. Tak, udało jej się, a jakże! Tyle, że w wyniku niekończących się cierpień. W żadnej innej dziedzinie, zmuszona biegiem wydarzeń, nie zmieniła zdania tak diametralnie, jak w tej kwestii. Nie będzie żadną niesprawiedliwością stwierdzenie, że do końca lat 50-tych była zwolenniczką zimnej wojny. Dopiero potem, w wyniku zaostrzenia stosunków między Wschodem a Zachodem po powstaniu muru, coraz bardziej zdecydowanie obierała kurs na polityczne odprężenie.

Najwięcej trudności przysparzało Marion Dönhoff pogodzenie się z utraconymi terenami na Wschodzie. Utrata ojczyzny w Prusach Wschodnich była źródłem jej goryczy. „Nigdy nie myślałam, że tę stratę przeżyję”. Jeszcze pod koniec lat 50-tych pisała: „Nikt, kto pochodzi ze Wschodu, nie zrezygnuje z ziemi”. Ale potem jej nastawienie zmieniło się. W 1970 roku stwierdziła bez ogródek: „Nikt już dzisiaj nie może mieć nadziei, że utracone tereny wrócą do Niemiec”. Z zapałem zaangażowała się w uznanie granicy na Odrze i Nysie. Nie mogła się jednak przemóc, by latem 1970 roku przyjąć zaproszenie Willy'ego Brandta i uczestniczyć w podpisywaniu układu między Polską a RFN. Serce zabraniało jej wzniesć toast za to, co, jak podpowiadał rozsądek, było nieuchronne. Prawdziwa ojczyzna, tak próbowała sobie wytłumaczyć bolesną stratę, to przecież nie naród, tylko krajobraz. Na koniec przekonała się do pięknego, świadczącego o człowieczeństwie poglądu: „Być może największa

miłość polega na tym, że można kochać nie posiadając”. I tak stała się zagorzałą orędowniczką niemiecko-polskiego pojednania, a potem także niemiecko-rosyjskiego zbliżenia.

Również w polityce dotyczącej Niemiec musiała pokonać długą drogę. W 1955 roku towarzyszyła Konradowi Adenauerowi w podróży do Moskwy, po której zarzucała potem kanclerzowi, że nie wykorzystał nawiązania stosunków dyplomatycznych z Kremlm i przy okazji nie wytargował terminu zjednoczenia Niemiec. Za wolność dziesięciu tysięcy więźniów wojennych przypieczętował niewolę 17 milionów mieszkańców wschodnich Niemiec. Każdą próbę uznania NRD należało jednak udaremnić.

Dwadzieścia lat później domagała się tego samego uznania w liczącym 20 linijek komentarzu. Pomysł ten udało jej się wyperswadować jedynie tym, że o ile rzeczywiście uznanie to ma sens, to należałoby w tej sprawie zamieścić w „Die Zeit” uzasadniające orędzie na przynajmniej jedną stronę. Podobnie jak większość mieszkańców Niemiec Zachodnich nie wierzyła w możliwość zjednoczenia, przynajmniej nie za jej życia. Jeszcze rok przed upadkiem muru popierała „austriackie rozwiązanie”, czyli kooperacyjny związek dwóch demokratycznych i wolnych państw niemieckich. Nie było to stanowisko pozbawione rozsądku. Kto wtedy mógł przypuszczać, że wkrótce mur i drut kolczasty zmiążdży koło historii?

Trzeci ważny motyw, który przewijał się przez życie Marion Dönhoff, to krytyka kapitalizmu. Zwykła żądza zysku, której jedynym kryterium jest namacalny sukces gospodarczy, od początku godziła w pruski etos hrabiny, w którego centrum znajdowały się świadomość wspólnoty i wspólne dobro. W podziękowaniu ogłoszonym po otrzymaniu Pokojowej Nagrody Niemieckiego Księgarstwa (der Friedenspreis des Deutschen Buchhandels – przyp. tłum.) poparła ostrzeżenie Herberta Marcusesa przed „jednowymiarowym człowiekiem”, który bezwolnie poddaje się prawom rynku.

Ćwierć wieku później Dönhoff podejmuje ponownie ten temat. Jej książka *Ucywilizujcie kapitalizm* (tytuł oryginału: *Zivilisiert den Kapitalismus* – przyp. tłum.) poruszyła opinię społeczną niczym dźwięk fanfar. Autorka skarży się w niej: „Wszystko, co duchowe, artystyczne, ludzkie jest spychane na margines” i żąda, żeby: „ponownie sformułowano i poddano pod dyskusję pytania dotyczące sensu pracy i produkcji, granic władzy czy istoty postępu”. Po dwunastu latach i dwóch kryzysach gospodarczych można byłoby sobie życzyć, by jej krzyk usłyszano i uwzględniono.

W czasie, który coraz bardziej ulegał sterylnemu wzburzeniu bulwarowych czasopism i powierzchowności płytkich talkshow, publicystka Marion Dönhoff trzymała wysoko w górze pochodnię klasycznych cnót dziennikarskich. To nie forma powinna decydować o zawartości – postulowała – tworzenie gazety nie powinno przesłaniać obranego kierunku, a upiększona sensacja nie może wypierać porządnej analizy. Ale Marion Dönhoff była kimś więcej, niż tylko dziennikarką. Dla wielu jej współczesnych stała się autorytetem i wzorem. I podobnie jak promienie gwiazdy, która już dawno

zgaśła, jeszcze po latach świetlnych rozświetlają naszą teraźniejszość, tak jej wyjątkowe życie pozostanie przesłaniem i osiem lat po jej śmierci wciąż będzie nam wyznaczać kierunek i cel.

Artykuł został opublikowany w 49. numerze „Die Zeit” w dn. 26 listopada 2009 roku.

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Kinga Zielińska

Redakcja: Zofia Matejewska

© DIE  ZEIT

© dla polskiego tłumaczenia

